

UZAWODOWIENIE KSZTAŁCENIA NA POZIOMIE WYŻSZYM

Akademicki – nieakademicki

Wywiad z prof. dr. hab. Krzysztofem Gryśą, prorektorem Politechniki Świętokrzyskiej w Kielcach

Miejsce w systemie edukacji kształcenia zawodowego, utożsamianego czasem z tzw. krótkimi cyklami, częściej jednak z przygotowaniem akcentującym aplikacyjny aspekt wiedzy – to ostatnio temat wielu dyskusji, ale także konkretne propozycje rozwiązań już istniejących. Czy istnieje możliwość – bądź też potrzeba – jednoznacznych rozstrzygnięć dylematu: integracja systemu czy dywersyfikacja oparta na tworzeniu równoległych sektorów kształcenia na poziomie wyższym – akademickiego i nieakademickiego? Jak odnoszą się do tego problemu uniwersytety, wyższe szkoły zawodowe o statusie akademickim i te nieliczne zawodowe – nieakademickie? Czy różnicowaniu funkcji dydaktycznych ma towarzyszyć różnicowanie funkcji w sferze nauki? Czy gospodarce potrzebny jest specjalista z wykształceniem, które można usytuować gdzieś między technikiem a magistrem inżynierem? W tych, a także innych kwestiach poprosiliśmy o wypowiedź prof. dr. hab. Krzysztofa Gryśę, prorektora Politechniki Świętokrzyskiej w Kielcach.

M. Wójcicka: Po niemal całkowitym ujednoczeniu w naszych uczelniach poziomu oferowanego wykształcenia obserwujemy w ostatnich latach powolny proces różnicowania oferty edukacyjnej. Czy – zdaniem Pana – jest to odpowiedź uczelni na zmieniające się potrzeby gospodarki, czy może raczej próba poszukiwania przez środowisko akademickie sposobów przetrwania w warunkach kryzysu? Rozumiem, że jednoznaczna odpowiedź będzie trudna czy wręcz niemożliwa...

K. Gryśa: Moim zdaniem w grę wchodzi kilka ważnych przyczyn, z których dwie wymieniła Pani w pytaniu. Jednakże różnicowanie oferty edukacyjnej to w największym stopniu odpowiedź uczelni na zmieniające się potrzeby gospodarki – chociaż odpowiedź ta wcale nie wynika bezpośrednio z owych zmian. W zdecydowanej większości szkół wyższych od lat pracują ci sami ludzie. Trudno zatem postawić tezę, że wszyscy oni nagle dostrzegli „nowe” i – co więcej – znaleźli w swoich głowach odpowiedzi na problemy nurtujące gospodarkę. Powiedziałbym

natomiast, że to przede wszystkim kadra kierownicza szkół wyższych widzi potrzebę dostosowania środowiska naukowego do nowej sytuacji gospodarczej i społecznej oraz poszukuje dróg realizacji tego dostosowania.

Student – klient¹

Zmiany te są przede wszystkim spowodowane zmieniającym się nastawieniem do nauki klienta szkół wyższych – czyli **studenta**. Obserwujemy od zawsze modę na studiowanie na rozmaitych atrakcyjnych kierunkach studiów, ale od kilku lat ta moda jest mniej nakierowana na ambicje intelektualne (jak to było dawniej np. z archeologią czy etnografią), a bardziej na efektywność finansową wykonywanego w przyszłości zawodu. Studenci garną się do wszelkich dziedzin związanych z językami obcymi, informatyką, a także ekonomią, zarządzaniem, handlem itp. – i stąd na prawie wszystkich uczelniach pojawiają się tego typu kierunki studiów. Coraz częściej poza wykładowcą – profesorem uczelni pojawia się człowiek „z branży”: bankowiec, prawnik, szef izby skarbowej. Powstaje coraz więcej prywatnych szkół wyższych, w których zatrudnieni profesorowie są „utytułowanym dodatkiem” do kadry fachowców. Wydaje się, że ta tendencja jest zdrowa i zgodna z potrzebami gospodarki.

Kształcenie ustawiczne

Próby poszukiwania przez uczelnie sposobów na przetrwanie to przede wszystkim uruchamianie rozmaitych kursów w ramach tzw. kształcenia ustawicznego. Także i te działania są związane ze zmieniającą się gospodarką oraz z potrzebami klienta, którym jest fachowiec, odnajdujący w nowej rzeczywistości luki w swoim wykształceniu. Nagle okazało się bowiem, że komputer to nie tylko ozdoba biurka, a negocjacje to nie koneksje i układy czy wypicie odpowiedniej ilości odpowiedniego napoju. Stąd na uczelniach kursy informatyczne, zarządzania i marketingu, „psychologizowania” podejścia do interesanta itp.

Nowa rola nauczyciela

Kolejną ważną przyczyną różnicowania oferty edukacyjnej wydaje się być przerażenie rodziców, którzy – zaskoczeni narzuconą im odpowiedzialnością za wykonywaną pracę – chcą swoje pociechy „uzbroić” w umiejętności dawniej mało w tzw. życiu przydatne – jak np. znajomość języków obcych. Pochodną tego przerażenia jest masowe dokształcanie się nauczycieli, którzy z roli nieomylnych egzekutorów formuł, pewnych swoich racji i stałości miejsca pracy, muszą przepoczwarzać się w prawdziwych wychowawców **nowego** pokolenia dla **nowych** czasów. Stąd dziesiątki kursów dla nauczycieli we wszystkich uczelniach.

Zubożenie społeczeństwa

Nie bez znaczenia jest zubożenie społeczeństwa. W jego wyniku tysiący młodych ludzi nie stać na studia w Warszawie, Krakowie czy innym dużym ośrodku akademickim. Prowadzi to do kreowania nowych kierunków studiów na uczelniach powszechnie uważanych za prowin-

¹ Śródtytuły pochodzą od Autora wypowiedzi.

cyjnalne. Oferta edukacyjna tych szkół zależy od poziomu własnej kadry oraz zaangażowania kadry „importowanej”. Jest dość oczywiste, że nowo tworzone tam kierunki studiów nie są wyposażone w sprzęt i kadry w stopniu porównywalnym do odpowiedników w dużych ośrodkach akademickich. Dla młodych ludzi jest to jednak często jedyna możliwość zdobycia wiedzy. Wszelkie próby podcinania skrzydeł uczelniom prowincjonalnym to uderzenie w najbardziej młodzież, dla której rezultatem ewentualnego zdegradowania małych szkół wyższych do roli szkół zawodowych będzie frustracja i bezrobocie.

Poszukiwania

Do niedawna kształciliśmy specjalistów. Po przejściu do gospodarki rynkowej okazało się, że specjalizacja to dla absolwenta uczelni ogromne zawężenie potencjalnego rynku pracy. Wynika stąd potrzeba dania studentowi mocnych i gruntownych podstaw oraz szerokiej oferty przedmiotów do studiowania na wyższych latach. Wynika stąd także konieczność przestawienia szkolnictwa wyższego z egzekwowania wiedzy wtłaczanej do głów na zajęciach do wykształcania takich cech jak samodzielność, umiejętność podejmowania decyzji, organizowania sobie czasu itp. Pojawiające się katalogi z przedmiotami obieralnymi i przykładowymi ścieżkami kształcenia prezentują coraz szerszą ofertę tematyczną przy coraz krótszym czasie angażowania studenta w zajęcia na terenie uczelni. Spotyka się to z buntem tak nauczycieli akademickich, jak i studentów. Ci pierwsi walczą o godziny; ci drudzy zwyczajnie boją się odpowiedzialności. Wciąż jeszcze student uważa, że do egzaminu powinno się podchodzić trzy (cztery, pięć ...) razy, bo takie jest jego – studenta – prawo. Wciąż jeszcze wielu nauczycieli akademickich sądzi, że wymaganie od nich opieki nad grupką studentów, roli mistrza, to godzenie w ciężko wywalczone przywileje. Ciągłe jeszcze ocenianie pracy nauczyciela akademickiego postrzegane jest przez studentów jako próba wyłapania (na podstawie analizy charakteru pisma?) nieprawomyślnych, a przez nauczycieli akademickich – jako szarganie świętości.

Tu chyba najostrzej widać, co przyniosła szkolnictwu wyższemu transformacja ustrojowa.

Z pewnością tylko dotknąłem problemu. Warto by to samo pytanie zadać profesorowi uczelni humanistycznej.

– **To ciekawa analiza podłoża zmian dokonujących się w systemie kształcenia, czy inaczej – w treściach i jakości przebiegu procesu kształcenia. W pewnym sensie odnosi się ona również do tego, co starałam się zaakcentować w pierwszym pytaniu, wskazując na odchodzenie od jednolitego poziomu kształcenia: 5-letnie jednolite studia magisterskie zastępowane są studiami dwustopniowymi. Wróćmy jeszcze do studentów – klientów. Czy zgodzi się Pan z poglądem, że obecnie znacznie częściej niż w minionym okresie studenci – a przynajmniej wielu spośród nich – poszukują alternatywnych dróg dochodzenia do zawodu, w tym również takich, które zapewnią im szybsze wejście w dorosłe życie, cokolwiek by to za sobą niosło?**

– Przyznam, że nie zauważyłem w Pani poprzednim pytaniu jakiegoś szczególnego zaakcentowania spraw studiów dwustopniowych. Dla mnie zróżnicowanie oferty edukacyjnej oznaczało oprócz tego także „regionalizację” studiów, rozumianą jako wypośrodkowanie oferty edukacyjnej według zasady: uczymy w sposób najlepszy (najbardziej opłacalny, najszybszy, najelastyczniejszy) tego, na co jest popyt, a ponadto oferujemy to co zawsze, stale poszerzając podstawową ofertę dotyczącą studiów magisterskich i zawodowych.

Alternatywne drogi dochodzenia do zawodu

Czy studenci poszukują alternatywnych dróg dochodzenia do zawodu? Rzeczywiście, obserwujemy podejmowanie pracy już przez studentów czwartego roku, a także żywe uczestniczenie w wielu kursach poszerzających możliwości zdobycia ciekawej i dobrze płatnej pracy. Studenci trzeciego, najdalej czwartego roku, dość często starają się zindywidualizować tok studiów pod kątem własnych zainteresowań lub – częściej – potrzeb przyszłego pracodawcy, co jest bardzo pozytywnym zjawiskiem. Zdarzają się coraz częściej sytuacje, gdy wraz z synem (córką) przychodzi rodzic, mówiąc że latorośl obejmie po studiach rodzinny „interes”, a w związku z tym prosi o konkretny program pod kątem potrzeb swojej firmy. Staramy się wychodzić naprzeciw takim potrzebom, chociaż – jak zawsze – indywidualny tok studiów obwarowany jest pewnymi wymogami natury formalnej.

Z drugiej strony jednak zauważa się także tendencje odwrotne: część studentów wykonuje wiele czasochłonnych zabiegów w celu uniknięcia konfrontacji z własną niewiedzą i przedłużenia czasu trwania studiów (pracując przy tym gdzieś na mniej lub bardziej „czarno”). Ale to zjawisko miało miejsce zawsze. Także i ono bywa alternatywną drogą dochodzenia do zawodu.

– W wielu krajach – zwłaszcza na skutek reform z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych – mamy obecnie do czynienia z dualną strukturą studiów wyższych: uniwersytety i 3-4-letnie szkoły zawodowe. Koncepcja studiów zawodowych jako odrębnego sektora edukacji ma swoich zwolenników wśród tych, którzy – wobec znanej ograniczonej podatności tradycyjnych uczelni na zmiany – dostrzegają możliwość szybkiego reagowania małych, prężnych uczelni na bieżące wymagania rynku pracy. Dualny system kształcenia ma jednak również swoich przeciwników. Jaki jest Pana pogląd w tej sprawie?

– Nic nie stoi na przeszkodzie, aby na uniwersytetach wprowadzać studia licencjackie czy inżynierskie, a oprócz tego powoływać do życia czy rozwijać istniejące uczelnie przygotowujące do zawodu. W tzw. minionym okresie zrobiono zbyt wiele w celu udowodnienia, jakim to wykształconym społeczeństwem jesteśmy. Mnóstwo szkół zawodowych przekształcono w uniwersyteckie. Pęd do posiadania przed nazwiskiem literek „mgr” doprowadził do naukowienia nawet zawodu pielęgniarki. Myślę, że trzeba by to jakoś uporządkować.

Fakty

Pytanie „jak kształcić” można by sprowadzić do pytania „kto i jaki ma w tym interes”. Zaczniemy od faktów:

- mamy w Polsce niski współczynnik skolaryzacji;
- społeczeństwo jest ubogie;
- panuje wysokie bezrobocie;
- szkolnictwo średnie po wszystkich reformach ostatnich 30 lat „produkuje” młodzież nieodporną psychicznie oraz dość kiepsko przygotowaną do studiów (jest to moje zdanie i – oczywiście – można z nim dyskutować).

Wynika stąd, że:

- lepiej jest młodzież kształcić, gdyż oznacza to podwyższenie poziomu intelektualnego i sprawności społeczeństwa;
- lepiej jest młodzież kształcić w miejscu zamieszkania, bo nie stać jej na pobieranie nauk w dużych (i drogich) ośrodkach akademickich;

– lepiej jest młodzież kształcić, bo alternatywą dla kształcenia jest – jak dotąd – „szlifobrukizm”;

– trzeba młodzież kształcić, bo ze szkół średnich, zwłaszcza ogólnokształcących, wychodzi ona kompletnie nie przygotowana do samodzielnego życia.

Kształcenie w szkołach średnich to odrębny problem. Natomiast pozostałe fakty i wnioski wydają się oczywiste.

Litera Y czy litera I

Od kilku lat powracamy do idei studiów zawodowych. Ponieważ magistrów „produkują” prawie wszystkie uczelnie, problem sprowadza się do tego, kiedy oddzielić kształcenie „niemagistrów” od kształcenia „magistrów”. Są tu dwie koncepcje: wspólne dla studiów zawodowych i magisterskich pierwsze dwa lata i potem rozejście się ścieżek studiowania (system określany jako litera Y) oraz wspólna nauka przez pierwsze – powiedzmy – 3 lata, a potem studia magisterskie dla tych, którzy spełniają odpowiednie warunki (litera I).

– Jest jeszcze „szkoła” trzecia, francuska, choć – jak cały system ponadśredniego szkolnictwa we Francji – mało u nas znana. W pierwszym, 2-letnim cyklu kształcenia uniwersytety realizują równoległe kursy odpowiadające akademickiej tradycji, czyli ukierunkowane ogólnie, oraz – także drożne – kursy o nachyleniu praktycznym, porównywalne pod względem zawartości programu z uniwersyteckimi instytutami technicznymi. Nie od rzeczy byłoby też przypomnieć „równy uniwersytem, lecz inny” sektor wyższych szkół zawodowych w Niemczech, kształcący na poziomie porównywalnym do *Bachelor*, lecz innym jakościowo...

– Jestem zdecydowanym zwolennikiem systemu określonego literą I, czyli dwustopniowego. Uważam przy tym, że absolwent studiów zawodowych nie powinien otrzymywać zbyt ukierunkowanej wiedzy. Wąska specjalizacja nigdy nie była dobrym pomysłem. Nawet w czasach, gdy każdy dostawał skierowanie do pracy, i tak tylko około 10% absolwentów szkół technicznych pracowało zgodnie z wyuczoną specjalizacją. Tak więc ewentualne studia zawodowe powinny dawać przede wszystkim elastyczność przy podejmowaniu pracy w zawodzie.

Ośrodki duże i małe

W dużych ośrodkach akademickich istnieją warunki kadrowe do utworzenia odrębnych studiów zawodowych i uniwersyteckich nawet na odrębnych uczelniach. Akademickość mierzona liczbą profesorów tzw. belwederskich może w tych ośrodkach realizować swoje ambicje poprzez odwracanie się od studiów zawodowych, gdyż kadry jest wystarczająco dużo, aby zaistniały one samodzielnie.

W małych ośrodkach sytuacja jest zupełnie inna. Zresztą nie chodzi tu nawet o małe ośrodki: mówmy o małych uczelniach. Na przykład Akademia Ekonomiczna w Poznaniu nie ma raczej szans na status uczelni autonomicznej (często mówiąc „autonomiczna” ma się na myśli „akademicka”), chociaż jej wszystkie trzy wydziały mają prawo do habilitowania. Podobnie wygląda sytuacja w zdecydowanej większości uczelni na tzw. prowincji; pomimo częstokroć niekwestionowanych osiągnięć naukowych, zawsze są traktowane trochę z góry przez „dużych braci”, co znajduje odbicie w prawach tych uczelni oraz rozmaitych koncepcjach organizacyjnych, pojawiających się raz po raz na łamach prasy i nie tylko.

W małych ośrodkach, gdzie mieszka młodzież biedna, najlepszym systemem kształcenia jest – według mojej opinii – system typu I. Daje on szansę zakończenia edukacji z możliwością zrobienia drugiego stopnia, przy czym możliwość ta może się pojawić dzięki nadrobieniu braków przez studenta i wypracowaniu sobie stypendium naukowego.

Studia zawodowe

A koncepcja studiów zawodowych jako odrębnego sektora edukacji? Jeśli będą chętni i jeśli gospodarka ich wchłonie – to czemu nie? Tworzą się coraz to nowe uczelnie prywatne. Myślę, że za kilka lat odpowiedzi na to pytanie udzieli życie.

– Rozumiem, że jest Pan zwolennikiem niemal „klasycznego” podejścia do kształcenia uniwersyteckiego, według którego 3-letni kurs np. na poziomie *undergraduate* stwarza podstawy przygotowania do prac badawczych, a następny etap (*postgraduate*) wzmacnia te podstawy. Czy rozmawiamy o studiach zawodowych? To znaczy o takich, które – w przeciwieństwie do typowo akademickich, przygotowujących do przekształcania zastanej rzeczywistości – kształcą specjalistów, których zadaniem jest utrzymywanie w ruchu infrastruktury już istniejącej? Czy studia zawodowe w ramach uczelni o statusie akademickim i studia zawodowe traktowane jako odrębny sektor – to te same studia?

– Z sugestii zawartej w Pani pytaniu wynika, że przez 50 lat w politechnikach i szkołach inżynierskich przygotowywaliśmy ludzi tylko do prac badawczych – a to przecież nieprawda. Nie sądzę, aby 3-letnie studia na poziomie *undergraduate* miały kształcić wyłącznie badaczy lub odpowiedni „półprodukt”. Akademie medyczne już dawno doszły do wniosku, że nie można kształcić laryngologów, kardiologów itd. Dlaczego więc na uczelniach technicznych mają być kształceni specjaliści od konkretnego typu procesu technologicznego czy grupy maszyn? Lepiej, jeśli absolwenci studiów 3-letnich dostaną porcję wiedzy, dzięki której nie staną z otwartą buzią, gdy firma zakupi nową maszynę czy nową technologię – a to jednak oznacza położenie nacisku na wiedzę mniej specjalistyczną. Specjalistów od detali kształcą technika oraz szkoły zawodowe i to właśnie ci specjaliści obsługują już istniejącą infrastrukturę. Moim zdaniem absolwent studiów zawodowych powinien umieć obsłużyć infrastrukturę, która pojawi się w okresie najbliższych lat po podjęciu przez niego pracy. Natomiast absolwent studiów magisterskich, czy – jak Pani woli – akademickich (mam na myśli uczelnie techniczne) powinien jeszcze umieć na te nowe nabytki (maszyny, technologie) spojrzeć twórczo.

O ile pamiętam, w Holandii skrót *ing.* oznacza właśnie takiego inżyniera-technika, a *ir.* – inżyniera po studiach akademickich. Natomiast w Polsce od niedawna próbuje się wprowadzić odpowiednik studiów zawodowych. Jak się zdaje, na Politechnice Wrocławskiej są dwuletnie studia dla takich techników-inżynierów. Czy jest to właściwy kierunek – oceni życie.

Czy studia zawodowe w ramach uczelni o statusie akademickim i studia zawodowe traktowane jako odrębny sektor – to te same studia? Jeśli umówimy się, że w tym drugim przypadku chodzi o lepszych techników – to nie. Jeśli natomiast mówimy o systemie dwustopniowym, to odpowiedź brzmi – tak. Sprawę kształcenia specjalistów od utrzymania istniejącej infrastruktury zostawiłbym technikom i szkołom pomaturalnym. Rewolucja informatyczna ostatnich lat wykazała nad wyraz dobitnie, że na uczelniach nie jesteśmy w stanie przygotować absolwenta, który byłby na bieżąco z tym, co dzieje się w technice. Szkolnictwa wyższego nie stać na nowoczesne maszyny, urządzenia i technologie, a i w wiedzy teoretycznej dotyczącej nowinek technicznych też chyba nie jesteśmy najmocniejsi.

– Podjęte w Polsce w połowie lat sześćdziesiątych próby utworzenia, czy raczej odtworzenia, przedwojennej struktury systemu szkół zawodowych o statusie nieakademickim skończyły się niepowodzeniem. Stosunkowo szybko wyższym szkołom inżynierskim, w tym również obecnej Politechnice Świętokrzyskiej, przyznano prawo do prowadzenia studiów magisterskich. Czy ten przykład, a także wiele podobnych w innych krajach europejskich, mógłby być wykorzystany jako argument przeciw tworzeniu odrębnego sektora kształcenia zawodowego?

– Wspomniane przez Panią próby z lat sześćdziesiątych musiały skończyć się niepowodzeniem. W sytuacji braku bezrobocia oraz silnej potrzeby propagandowej udowodnienia, że społeczeństwo jest wykształcone, na rękę władzom było i to, że każdy chce być magistrzem, i to, że polscy specjaliści wyjeżdżali na Zachód. Szczególnie ta ostatnia sprawa była nagłaśniana jako dowód wysokiego poziomu naszych studiów.

Inżynier

Kiedyś w dużych ośrodkach akademickich obok uniwersytetów istniały uczelnie zawodowe i młody człowiek mógł sobie wybrać, czy chce być „inż.”, czy „mgr inż.” (nauczycielem po SN czy magistrzem czego bądź – itp.). Następnie wszystkich „zmagistrowano”, a w ślad za tym poszły aspiracje uczelni. Dawniejsze SN stały się WSP (teraz mają aspiracje uniwersyteckie). Dawniejsze WSI stały się w wielu przypadkach politechnikami, co uważam za zabieg pozytywny, gdyż oprócz zmniejszenia oporów kadry przed zatrudnianiem się w tych uczelniach polepszało to także samopoczucie studentów, co jest nie bez znaczenia. Korzyść absolwenta – poza tym, że stał się mgr – była jednak prawie żadna. Ujednoczenie poziomu oferowanego wykształcenia, o którym mówiła Pani w pierwszym pytaniu, spowodowało się w efekcie do zrobienia z większości uczelni „szkółek” – przynajmniej tak do dziś odbierają to studenci i spora część kadry.

Samo nadanie szkołom inżynierskim, w tym i naszej Politechnice, prawa prowadzenia studiów magisterskich nie było zatem jakimś apokaliptycznym złem, chociaż zdeprecjonowało tytuł magistra. Skoro już o tym mówimy, to warto przypomnieć, że słowo „inżynier” pochodzi od słowa *engine*. Jak napisał w naszym uczelnianym miesięczniku „INDEKS” prof. Antoni Czuba, powstało ono w początkach industrializacji i oznaczało człowieka obsługującego maszynę. Jego wiedza ograniczała się do umiejętności nabytych pod okiem starszego, doświadczonego fachowca. Wykształcenie inżyniera wynikało w całości z praktyki przemysłowej.

W miarę rozwoju nauki i techniki w wyszkoleniu inżyniera zmniejszała się doza wiedzy praktycznej, a wzrastała porcja potrzebnej teorii. Dzisiaj mamy zupełnie paradoksalną sytuację, gdyż przyszły inżynier poświęca na praktykę przemysłową bardzo mało czasu (jeśli w ogóle uda mu się taką praktykę załatwić). Wynika to z niechęci zakładów przemysłowych do brania studentów na praktyki.

Może więc wyjściem dla kształcenia zawodowego będzie tworzenie uczelni zawodowych przy dużych zakładach przemysłowych? Tak powstał *GMI Management & Engineering Institute* w Flint (USA), takie były początki *Technische Hochschoule Eindhoven* (maczał w tym palce *Philips*).

Na razie jednak absolwent politechniki, magister inżynier, przypomina absolwenta akademii medycznej: musi zaliczyć staż, aby nabyć „prawo” do wykonywania zawodu. I wcale nie wydaje mi się to niewłaściwe, chociaż ubolewam nad kłopotami z miejscami do odbywania praktyk dla naszych studentów.

Politechnika Świętokrzyska

Wywołała mnie Pani trochę do odpowiedzi na temat Politechniki Świętokrzyskiej. Nasza – najmniejsza w kraju – Politechnika robi wszystko, aby uatrakcyjnić studia i pomóc młodzieży. Mamy trzy wydziały (budownictwo lądowe, mechaniczny oraz elektrotechniki, automatyki i informatyki) oraz pięć kierunków kształcenia (na BL dwa: budownictwo i inżynieria środowiska, na mechanicznym dwa: mechanika i budowa maszyn oraz zarządzanie i marketing, na WEAiI – jeden). Na studiach dziennych studiuje około 3000 studentów, zaś na studiach wieczorowych i zaocznych około 500; od października 1994 r. będzie ich razem około 4300 (tzn. około 12 studentów na jednego pracownika naukowego), gdyż corocznie zwiększamy nabór. Studiuje u nas głównie młodzież z Kielecczyny, której często nie stać na naukę w dużych ośrodkach akademickich.

Na pierwszym roku studiów prowadzimy zajęcia w systemie trymestralnym, który przetestowaliśmy na kierunku zarządzania i marketingu efektywność studiów w tym systemie przeszła nasze najśmielsze oczekiwania, przekraczając na I roku 80%! Każdy wydział ma opracowany katalog z wykładami tak obowiązkowymi, jak i obieralnymi. Liczba godzin zajęć tygodniowo nie przekracza 25 (nie licząc WF); staramy się bowiem usamodzielnić naszych studentów. Na obieralne ścieżki kształcenia przechodzimy stopniowo, gdyż wymaga to zmiany sposobu myślenia obu zainteresowanych stron: pracowników i studentów. Około 1/7 kadry to pracownicy samodzielni, w tym blisko 90% stanowią mieszkańcy Kielc.

Pozostałoby jeszcze odpowiedzieć na tkwiące gdzieś tam w tle pytanie o kształcenie zawodowe na Politechnice Świętokrzyskiej. W ciągu dwudziestu dziewięciu lat istnienia naszej najpierw Wyższej Szkoły Inżynierskiej, a od 1974 r. – Politechniki Świętokrzyskiej uczyliśmy najpierw inżynierów. Na studiach dziennych zakończyliśmy kształcenie inżynierów w 1976 r., kontynuując ten rodzaj kształcenia tylko na studiach zaocznych. Od zeszłego roku reaktywujemy studia inżynierskie na wszystkich wydziałach. W trzydziesty (jubileuszowy) rok pracy naszej Politechniki wchodzimy z szeroką ofertą studiów tak inżynierskich (na zarządzaniu i marketingu na razie licencjackich), jak i magisterskich. Czy studia inżynierskie prowadzone w naszej uczelni są zgodne z moim poglądem na nie? Niestety, niezupełnie. Wciąż jeszcze wielu z nas optuje za kształceniem „specjalistów” – jest to często wynik „walki o godzinę” oraz niechęci do zmiany prowadzonego od lat wykładu.

Myślę, że życie plus popyt na naszych absolwentów zmusi wielu z nas do zrewidowania swoich poglądów na kształcenie studentów. Sądzę, że problemy, jakie przeżywa w tym względzie nasza uczelnia, są typowe. Odpowiadają one temu, co dzieje się we wszystkich dziedzinach życia, a co streszcza się w stwierdzeniu „Reforma? Tak, ale nie u nas, bo u nas jest dobrze”.

Drożność

– Drożność jest jednym z parametrów najczęściej wykorzystywanych do opisu i oceny systemów edukacyjnych. Problemy z tym związane pojawiają się zwykle wówczas, gdy mamy do czynienia z systemami dualnymi, choć nie tylko. Pierwotnie 2-letnie francuskie instytuty techniczne (IUT), mimo iż ulokowane są w obrębie uniwersytetów, stanowiły – podobnie jak nasze szkoły pomaturalne – boczny tor edukacji. O drożności nie decyduje zatem wyłącznie miejsce w strukturze organizacyjnej szkolnictwa wyższego. Czy sądzi Pan, że – poza względami społecznymi, wyrażającymi się zasadą równych szans – problem drożności zasługuje na oddzielne potraktowanie?

– Z pewnością nie można udawać, że nie ma problemu. Jednakże przy następującym obecnie różnicowaniu oferty edukacyjnej, o czym mówiliśmy na początku naszej rozmowy, wydaje się, że problem ten to sprawa raczej porozumień między uczelniami (akademickimi i zawodowymi) aniżeli coś, co nadawałoby się do rozważań natury ogólnej. Albo uczelnie zawodowe tak opracują ofertę programową, aby „dopasować się” do kilku (a może tylko jednej) uczelni, które będą ewentualnie dalej kształciły zdolnych absolwentów tych szkół zawodowych, albo wyizolują się z systemu kształcenia, a to prędzej czy później doprowadzi – jak sądzę – do zmiany oferty programowej lub upadku takiej uczelni. Chyba że będzie to uczelnia zapewniająca zatrudnienie absolwentów u jakiegoś potentata przemysłowego, którego fundusze pozwolily na jej powstanie.

„Uprawianie” nauki

– Tradycyjnie podstawowym zadaniem uniwersytetów było i jest uprawianie nauki. Właśnie zakres owej „obsługi” wiedzy – jej tworzenie i przechowywanie, aktualizowanie oraz przekazywanie – decyduje o charakterze uczelni. Czy – zdaniem Pana – szkolnictwo zawodowe, bez względu na to, gdzie będzie usytuowane (w obrębie uczelni o statusie akademickim czy niezależnie od nich) powinno zajmować się również „uprawianiem” nauki?

– Tak naprawdę pyta mnie Pani o to, czy nauczyciele akademicy pracujący w uczelniach zawodowych powinni „uprawiać” naukę. Odpowiedź brzmi: po tysiącokroć tak! Tak się składa, że naukę uprawiają żywi ludzie, a nie instytucje. Poza tym o naszych szkołach wyższych już teraz mówi się, że są siedliskiem konserwatyzmu i uczą wiedzy archiwalnej. Czy Pani sobie wyobraża, czego może uczyć nauczyciel uczelni zawodowej po – dajmy na to – 30 latach pracy, jeżeli nie będzie uzupełniał swojej wiedzy? A raczej nie będzie, jeśli się go do tego „od małego” nie przyuczy, tzn. jeśli nie będzie musiał zrobić w określonym czasie doktoratu, jeśli jego praca nienauczyielska nie będzie podlegała ocenie, jeśli nie pojedzie od czasu do czasu na konferencję naukową... Czym byłoby „przekazywanie” wiedzy przez takiego nauczyciela?

W tych wszystkich rozważaniach na temat akademickości, naukowości itp. gdzieś gubi się studenta. A to on stanowi rację bytu każdej uczelni. Student z prowincji, z rejonu biednego – zgodnie z zasadą równych szans – powinien także mieć możliwość zdobycia wiedzy na jakimś takim poziomie. Tymczasem rozważana akademickość, którą uzależnia się od liczby profesorów belwederskich, może stać się tamą w rozwoju uczelni małych (na przykład takiej Akademii Ekonomicznej w Poznaniu!). Poza tym – czy rzeczywiście jeden profesor więcej powoduje zmianę jakościową uczelni? Politechnika Poznańska ma w tej chwili – o ile dobrze pamiętam – 58 profesorów belwederskich. Czy przyjdzie dwóch profesorów istotnie coś zmieni w tej placówce poza tym, że osiągnięta zostanie magiczna liczba 60? Podstawową pracę wykonują młodszy pracownicy naukowcy. Taka kwalifikacja byłaby sensowna wtedy, gdyby za tym jednym profesorem belwederskim szło dwóch doktorów habilitowanych, czterech doktorów i kilku asystentów, gdyby powstawała „drabinka” naukowa. Wówczas – zgoda, byłaby to duża zmiana jakościowa. Niestety, jak wiadomo, nie ma na to pieniędzy.

W krajach rozwiniętych mnóstwo dużych i ważnych uniwersytetów mieści się w małych miejscowościach. Dzięki temu absolwenci wracają do swoich miast oraz wsi. Nie tworzą się molochoy, w których przechodzień potyka się o utytułowanych ludzi z aspiracjami, głoszących tezę, że lepiej być roznosicielem mleka w stolicy niż profesorem na prowincji. Zgrupowanie w dużych miastach często kilkunastu uczelni oraz wielu ośrodków badawczych spowodowało, że

wielu poważnych ludzi, tracąc mnóstwo czasu na dojazd do pracy i zarabiając dość marne pieniądze, nie dopuszcza myśli o wyjeździe na stałe z dużego miasta. Życie mitem o wielkim ośrodku jest szkodliwe dla Polski. Czas zacząć myśleć w kategoriach Polski gminnej, która potrzebuje ludzi wykształconych. A do gminy prędzej wróci absolwent uczelni prowincjonalnej, bo on jeździ do domu co tydzień, jest z domem w stałym kontakcie, a tym samym jest „wrosnięty” w swój region.

Nauka i pieniądze

Wszystkie dyskusje o akademickości, badaniach naukowych w ewentualnych uczelniach zawodowych itp. to tak naprawdę walka o pieniądze. A tutaj nie ma reguł i każdy argument jest dobry. Tymczasem te wielkie uczelnie na ogół mają najbardziej rozbudowaną administrację, a co za tym idzie – konsumują wielkie pieniądze. *Informator – Szkolnictwo wyższe* na rok 1993 (świeższego nie mam) podaje dane, z których wynika, że w roku 1992 na uczelniach takich jak Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie czy Politechnika Wrocławska administracja (tzn. nie nauczyciele akademicy) stanowiła odpowiednio 64,4% i 62,2%, na Politechnice Śląskiej 53,6%, a na Politechnice Świętokrzyskiej – 56,1%. Pozostając nadal przy uczelniach technicznych, można także zauważyć, że na Politechnice Wrocławskiej przy 4850 pracownikach ogółem było w 1992 r. tylko 8033 studentów studiów dziennych, gdy na Politechnice Świętokrzyskiej przy 773 pracownikach ogółem (ponad 6 razy mniej) było tych studentów 2006 (4 razy mniej). Oczywiście obecnie, po dwóch latach, te liczby uległy z pewnością gruntownym zmianom. Tym niemniej ilustrują one skalę problemu.

Za zdefiniowaniem ośrodka jako akademicki czy nieakademicki będzie szło finansowanie. Jego bezpośrednim skutkiem będzie poziom kształcenia. Według mnie lepszy jest system funkcjonujący obecnie, w którym o prawach do nadawania stopni naukowych (w tym i magisterskich) oraz o finansowaniu uczelni decyduje liczba pracowników samodzielnych na danym kierunku studiów (wydziale) oraz dorobek naukowy wydziału (instytutu, katedry), sprawdzany corocznie.

Badania przeprowadzone przez rektora naszej Politechniki w ubiegłym roku wykazały, że przedsiębiorstwa wolą zatrudniać magistrów inżynierów aniżeli inżynierów. Z czasem z pewnością to się zmieni – ale na razie mamy takie właśnie realia. Praca nas wszystkich nad zmianą sposobu myślenia wydaje się konieczna, bo w okresie ostatnich 50 lat trochę za bardzo przesiąknęliśmy kultem pozorów.

– **Dziękuję za wypowiedź.**

Pytania sformułowała Maria Wójcicka